Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 192 (Rok XII, Nr 2) 15 stycznia 1952 Cena (Price) 1/6

TŁO SPRAWY „SZPIEGÓW AMERYKAŃSKICH"

ZAKOŃCZONY w Warszawie proces pięciu ludzi, oskarżonych o szpiegostwo na rzecz USA był pierwszym, w którym usiłowano znaczną część odpowiedzialności przerzucić na obecnie działające organizacje emigracji. Był też pierwszym, w którym do sprawy przyszło w kilka tygodni zaledwie po aresztowaniu oskarżonych.

Przed sądem wojskowym w Warszawie oskarżeni Głuchowski, Korwel, Falkus, Długosz i Kuzubski przyznali się do szpiegostwa i zostali za to skazani na śmierć. Według oceny warszawskiej wszyscy byli uciekinierami świeżej daty.

Akt oskarżenia usiłował połączyć w jedną całość wszystkich wrogów reżimu. Więc przede wszystkim brytyjskie władze wojskowe w Berlinie, do których zwrócił się Korwel, b. podoficer lotnictwa w Anglii. Dalej za „główną instytucję szpiegostwa amerykańskiego" uznano IRO, potem Kompanie Wartownicze USA, do których werbowano oskarżonych, wreszcie polską Radę Polityczną w Londynie, której rozkazy oskarżeni mieli wypełniać w podróżach odbywanych do kraju. Placówka Rady pod kierownictwem S. Dachana miała się mieścić w Berlinie.

Rada Polityczna została opisana w akcie oskarżenia bardzo szczegółowo. „Składa się ona z grupy WRN Arciszewskiego, Stronnictwa Narodowego oraz peeselowskiej grupy Korbońskiego i Bagińskiego. Została zorganizowana jako komórka podległa waszyngtońskiemu Komitetowi Wolnej Europy i działa za pieniądze z tzw. Aktu Wzajemnej Pomocy — 100 milionów dolarów przeznaczonych przez imperializm amerykański na akcję sabotażową i szpiegowską w krajach demokracji ludowej. Celem wysłanników Rady Politycznej w kraju było organizowanie podziemia, szpiegostwa, dywersji i psychozy wojennej."

Od pierwszego dnia procesu robi się przez prasę i radio nastrój antyemigracyjny. Notoryczna fala „49" w codziennej propagandzie wróciła do wymyślań na emigrację, starając się udowodnić, że AK „było oszustwem rządu londyńskiego". Hałaśliwe zarzuty komunistów świadczą, że z jednej strony bardzo gorliwie wykonuje się instrukcję kominformowską o potrzebie „demaskowania dywersyjnej działalności imperialistów amerykańskich", a z drugiej, że kraj ciągle myśli i czuje po polsku. Kraj zna emigrację. Dlatego trzeba ciągle wymieniać jej organizacje i próbować obrzucić błotem, łącząc ich działaczy z kryminalistami w jednej sprawie sądowej.

ŹRÓDŁA NĘDZY

W przemówieniu noworocznym Bierut oświadczył, że inwestycje kapitałowe w Polsce w r. 1951 osiągnęły fantastyczną sumę 25 miliardów złotych, czyli używając jego słów „tysiąca zł na głowę mieszkańca Polski ludowej". W cyfrach tych kryje się wyjaśnienie wielu trudności przeżywanych obecnie przez kraj, a także stwierdzenie, że komuniści dopuszczają się zbrodni na żywym ciele naszego narodu.

Biorąc pod uwagę stosunki na wsi można w wielkim przybliżeniu miesięczny zarobek pracującego Polaka w kraju ocenić na 500 zł miesięcznie. Wśród 25 milionów mieszkańców pracuje zawodowo nie więcej niż 15 milionów. Na pracującego (a więc zarabiającego Polaka) wypadło przeto w ub. r. około 1.800 zł wydatków inwestycyjnych, czyli zarobki trzech i pół miesięcy.

Tu jest tajemnica nędzy, tajemnica niskiego poziomu życia. I gdy propagandziści komunistyczni chełpią się, że w sklepach brak towarów gdyż wzrosła konsumpcja (ludzie „za dużo kupują"), to dane przedstawione przez Bieruta zadają tej propagandzie kłam. Wszyscy są nędzarzami. Żaden kraj nie może przeznaczyć 1/3 rocznego dochodu społecznego na inwestycje, a tym bardziej kraj biedny.

Dobrze jest, że się w Polsce buduje fabryki i kopalnie, ale jeśli to ma się odbywać takim kosztem, to należy poważnie obawiać się skutków zarówno fizycznych jak i psychologicznych. To jest zbrodnia komunizmu.

Przez nędzę, głód, wyczerpanie całego narodu do posiadania przemysłu. Czym że to się różni od początków kapitalizmu — tym chyba, że teraz wyzysk obejmuje całe społeczeństwo i że jest poparty terrorem policyjnym.

HISTORIA A LA OCHAB

Komuniści jak wiadomo nie uznają obiektywizmu w studiach historycznych — przeszłość musi być przedstawiana z dialektycznego punktu widzenia. Jak to wygląda w praktyce, wyjawił sekretarz CK PZPR Ochab przemawiając niedawno na kongresie historyków w Warszawie.

„Historia Polski ma być tak przedstawiana — powiedział luminarz komunistyczny - aby pomagała prezydentowi Bierutowi, PZPRobotniczej oraz całemu narodowi w dziele budowania socjalizmu."

Po takiej tezie, niektórzy carscy historycy Polski przebywający wśród potępionych, spodziewają się pewnie awansu do nieba, jako niewinne owieczki. Ochabowi to jednak nie przyszło na myśl i tak ciągnął dalej: „Historia Polski, pisana przed wojną była w większości wypadków fałszowana na użytek panującej klasy burżuazyjnej. Obecnie polscy historycy mogą korzystać z badań historyków sowieckich, a studiując ich pilnie łatwo będą mogli demaskować antypolską politykę Watykanu oraz angloamerykański imperializm".

Posłuchajmy dalej:

„Partia i znaczna część narodu zdają sobie sprawę, iż nie można skutecznie walczyć o socjalizm, jeśli się nie posiada właściwego poglądu na własną historię.

„Historyk musi udowodnić, że patriotyzm i internacjonalizm mogą współpracować. Musi on jednak należycie oświetlić niebezpieczną politykę socjal-demokracji prawicowej oraz błędy gomułkowszczyzny. Musi on de-

maskować kosmopolitycznych zdrajców i imperialistycznych agentów oraz winien podkreślać udział Związku Radzieckiego w walce o pokój przeciw gangsterom spod znaku dolara i bomby atomowej".

Na pozór wydawać by się mogło, że Ochab pomylił kongres historyków ze zjazdem tajnych współpracowników UB. Niestety, metoda przezeń wykładana jest stosowana od lat w naukach historycznych w Sowietach. Ona to tłumaczy, dlaczego co kilka lat zmienia się podręczniki, wyrzuca się z nich fakty niepotrzebne a dodaje nowe, bez wielkiej staranności o ich prawdziwość. Wszak przez 34 lata spalenie Moskwy w 1812 r. było po trzykroć różnie przedstawiane; przecież pisze się nową historię wojny domowej w Rosji, mającą udowodnić, że akcją interwencyjną przeciw rewolucji kierowała... Ameryka itd.

Te ponure zabawki mają teraz być zastosowane do polskiej historii. Mętne głowy w rodzaju Ochaba, będą tu wprowadzać „właściwy pogląd" na polu, na którym od Długosza po Sobieskiego panowali dotąd solidni i uczciwi badacze. Straszne czasy...

RADA POLITYCZNA WE FRANCJI

12 ub. m. odbyło się w Paryżu konstytucyjne zebranie Przedstawicielstwa Rady Politycznej we Francji. Zebranie zagaił przybyły z Londynu członek Wydziału Wykonawczego p. Z. Stypułkowski.

W skład Przedstawicielstwa wchodzi ogółem 15 członków i 3 zastępców, reprezentujących Polską Partię Socjalistyczną, P.R.W. „Niepodległość i Demokracja" oraz Stronnictwo Narodowe. Ponadto do Przedstawicielstwa wchodzi działacz Polskiego Stronnictwa Ludowego — Odłam Jedności Narodowej oraz kierownik placówki Wydziału Wykonawczego Rady Politycznej w Paryżu. Członkami Przedstawicielstwa są: 1. Bohdan Gajewicz (SN), Stanisław Grocholski (NiD), Jerzy Jankowski (NiD), Wincenty Jaśniewicz (PPS), Aleksander Kossowski (PPS), Edward Łabędź (PPS), Stanisław Łucki (kierownik placówki Wydziału Wykonawczego), Artur Matkowski (SN), Władysław Owoc (SN), Jan Parafiniak (PSL — Odłam Jedności Narodowej), Zbigniew Rapacki (NiD), Józef Rokicki (SN), Tadeusz Rzewuski (SN), A. Skrodzki (PPS), Stanisław Zadrożny (NiD), Zygmunt Zaremba (PPS). Zastępcy: Henryk Janiszewski (SN), Jan Olicki (NiD), Józef Wirtelak (PPS).

Przedstawicielstwo ukonstytuowało się w sposób następujący: przewodniczący — Z. Zaremba (PPS), zastępcy przewodniczącego — B. Gajewicz (SN) i S. Grocholski (NiD), sekretarz — S. Łucki.

Zebranie przedyskutowało plan pracy Przedstawicielstwa na najbliższy okres, m. i. przygotowanie publicznego wystąpienia w Paryżu.

MEMORIAŁ DO ONZ

20 ub. m., w gmachu pałacu Chaillot, p. B. Cohen, zastępca sekretarza generalnego Narodów Zjednoczonych, przyjął przedstawicieli siedmiu narodów zza żelaznej kurtyny, którzy wręczyli memoriał dotyczący deportacji w poszczególnych krajach okupowanych przez Sowiety. Do memoriału ogólnego były dołączone aneksy, traktujące specjalnie sytuację w każdym kraju oddzielnie. Rozmowa prowadzona w niezwykle przyjaznej atmosferze, nacechowana była dużym zrozumieniem poruszonego w memoriale problemu.

W wizycie wzięli udział: przedstawiciel Estonii — p. S. Backis, Węgier — min. P. Auer, Łotwy — min. O. Grosvald, Litwy — S. Łozoraitis, Rumunii — prof. V. Veniamin, oraz ze strony polskiej p. S. Łucki, kierownik placówki Wydziału Wykonawczego Rady Politycznej w Paryżu.

ZJAZD ŚRODKOWO-EUROPEJSKI

W dniach od 21 do 24 bm. obradować będzie w Londynie konferencja Ruchu Europejskiego, poświęcona zagadnieniom Europy środkowej i wschodniej. Pracami przygotowawczymi zajmowała się głównie Komisja Środkowej i Wschodniej Europy Ruchu Europejskiego. Prace te trwały od dłuższego czasu i były rozpoczęte jeszcze w okresie, kiedy przewodniczącym Komisji Środkowej i Wschodniej Europy był znany Polakom poseł brytyjski Harold Macmillan, obecnie członek gabinetu brytyjskiego. W skład Komisji wchodzą grupy narodowe krajów zza żelaznej kurtyny. Członkami grupy polskiej są pp. F. Białas, dr T. Bielecki, S. Korboński, R. Piłsudski, amb. E. Raczyński i min. J. Zdziechowski. Amb. E. Raczyński i min. J. Zdziechowski wchodzą w charakterze wiceprzewodniczących Komisji Środkowej i Wschodniej Europy do jej Wydziału Wykonawczego, obejmującego również polityków brytyjskich, francuskich, belgijskich i holenderskich.

W konferencji udział weźmie około 100 przedstawicieli krajów zza żelaznej kurtyny, przebywających obecnie w Stanach Zjednoczonych i w Europie. W skład delegacji polskiej na konferencję wchodzą: pp. A. Adamczyk, F. Białas, dr T. Bielecki, J. Bloch, A. Ciołkosz, A. Dargas, prof. S. Glaser, prof. W. Folkierski, dr Z. Jordan, S. Korboński, J. Lerski, amb. K. Morawski, R. Piłsudski, amb. E. Raczyński, E. Sojka, Z. Stypułkowski, prof. W. Sukiennicki, prof. Z. L. Zaleski, min. J. Zdziechowski.

Ponadto zaproszeni zostali na konferencję w charakterze honorowych gości ze strony polskiej m. i. pp.: prez. T. Arciszewski, min. Z. Berezowski, gen. J. Haller i gen. T. Bór-Komorowski.

Wśród Polaków na konferencji znajdą się niektórzy z tytułu przynależności do organizacji międzynarodowych środkowo-europejskich bądź ogólnych, wchodzących w skład Ruchu Europejskiego.

Poza plenarnymi posiedzeniami konferencji obrady toczyć się będą w komisjach: społecznej, przemysłowo-ekonomicznej, rolniczej i kulturalnej. Na porządku dziennym w tych komisjach znajdą się poszczególne raporty. Delegaci polscy poza uczestnictwem w komisjach zabiorą również głos na plenum konferencji.

W dzisiejszej sytuacji międzynarodowej nie należy się spodziewać konkretnych oświadczeń ze strony rządów mocarstw zachodnich w sprawach, które będą przedmiotem obrad konferencji. Jest ona zwołana i odbywać się będzie pod egidą Ruchu Europejskiego, organizacji nieoficjalnej. Niemniej stanowić ona będzie cenną platformę dla postawienia problemu naszej części Europy w szerokiej opinii społeczeństw zachodnich. W tej raczej płaszczyźnie należy oceniać jej wyniki. Da ona również okazję do zbliżenia między przywódcami politycznymi narodów środkowej i południowo-wschodniej Europy.

Na zakończenie konferencji odbędzie się w Albert Hallu publiczne zebranie manifestacyjne pod hasłem: „Niepodległość i wolność dla całej Europy". Na zebraniu tym przemawiać będą obok zachodnio-europejskich polityków dwaj mówcy środkowo-europejscy: Węgier — ks. Varga oraz amb. E. Raczyński.

SPOTKANIE Z POLITYKAMI FRANCUSKIMI

17 ub. m. p. Beddington Behrens, przewodniczący Komisji Środkowej i Wschodniej Europy w Ruchu Europejskim, wydał śniadanie w Paryżu w Cercle Interallié w celu wymiany zdań w gronie głównie francuskich polityków na temat organizowanej przez Komisję w styczniu konferencji w Londynie.

Po zagajającym przemówieniu p. Beddingtona Behrensa zabierali kolejno głos pp. Reynaud, Auer, Zdziechowski, Courtin i Bichet.

UCHWAŁA O POMOCY KULTURALNEJ

8 ub. m. Zgromadzenie Europejskie w Strassburgu uchwaliło jednomyślnie rezolucję, w której uznając naglącą potrzebę przyjścia z pomocą uchodźczej młodzieży z krajów środkowo-europejskich w jej dalszych studiach oraz udzielenia materialnego poparcia uchodźczym organizacjom kulturalnym i naukowym, zaleciło Komitetowi Ministrów: 1) Sekretariat Rady Europejskiej winien ustalić wysokość niezbędnej pomocy finansowej na powyższe cele; 2) państwa należące do Rady Europejskiej, inne kraje oraz zainteresowane organizacje winny stworzyć wspólny fundusz europejski; 3) Sekretariat Rady Europejskiej ma zlecony obowiązek opra-

cowania zasad administracji funduszem europejskim.

Rezolucja Rady Europejskiej była przygotowana przez Komisję Specjalną przy wydatnej współpracy Komisji Europy Środkowej i Wschodniej Ruchu Europejskiego. Komisja Rady Politycznej dla spraw polskich na obczyźnie dostarczyła delegatom polskim w Komisji Europy Środkowej i Wschodniej udokumentowanych opracowań i sugestii. M. i. zwróciła ona uwagę, iż pomoc kulturalna bez stworzenia europejskiego funduszu nie jest możliwa i że sprawa ta jest przeto punktem ciężkości całego zagadnienia. W rezolucji Zgromadzenia Europejskiego ten punkt widzenia został w pełni uwzględniony. W załączniku do raportu Komisji Specjalnej, który daje wykaz uchodźczych organizacji kulturalnych i naukowych, wyróżnia się część polska, także przygotowana przez Radę Polityczną.

KONFERENCJA SN

8 i 9 ub. m. odbyła się w Paryżu konferencja działaczy i mężów zaufania Stronnictwa Narodowego z terenu Francji. Na konferencję przybył prezes T. Bielecki z Londynu. Wzięło w niej udział kilkudziesięciu delegatów z prowincji i Paryża. Konferencji przewodniczył prezes Wydziału Wykonawczego na Francję p. B. Gajewicz. Sprawozdania z terenu i dyskusja wykazały znaczny rozwój prac Stronnictwa we Francji w ostatnim roku.

W dalszym ciągu konferencji referaty wygłosili: prez. T. Bielecki, p. B. Gajewicz, p. S. Łucki oraz p. T. Rzewuski.

WIKTOR TROŚCIANKO

RZECZYWISTOŚĆ I WNIOSKI

ROLA Polaków w wolnym świecie, jako rzeczników milczącego pod okupacją sowiecką społeczeństwa stała się w ciągu lat emigracji czymś tak oczywistym, że aż w tej oczywistości wyblakła. Powtarzanie we wszystkich przypadkach i na wszystkich uroczystościach „cierpiącego kraju" sprowadziło pojęcia z tym związane do niebezpiecznej sfery czcigodnych, powszechnie zrozumiałych truizmów, których znaczenia aktualnego nie trzeba ani dyskutować, ani analizować.

Tymczasem zadanie nasze poza granicami Polski było w tych latach powojennych ciągle ważne, skomplikowane i trudne. W atmosferze przedwczesnego odprężenia po klęsce Trzeciej Rzeszy, naiwnej wiary Zachodu we współżycie pokojowe z drugim, jeszcze bardziej niebezpiecznym totalizmem, trzeba było włożyć wiele pracy i wiele charakteru, żeby naprawdę pozostać rzecznikami okupowanego narodu. Dla niektórych Polaków obowiązek polski na emigracji skończył się — niestety — z chwilą porzucenia dotychczasowego skupiska polskiego i przeniesienia się na inny kontynent już w charakterze emigrantów zarobkowych, szukających szczęścia i chleba z daleka od spraw, którymi „niech się inni zajmują".

Mówienie prawdy, nieprzyjemnej i dokuczliwej, przerywającej wszystkie optymistyczne kombinacje społeczeństw zachodnich, było robotą ciężką i jakże trudną. Połowa z tego co się mówiło — a bodaj więcej niż połowa — przyjmowana była z całkowitą niewiarą, jako propaganda garstki wyrzuconych z siodła. Międzynarodowe usankcjonowanie w umowach z Sowietami ich podboju europejskiego, ułatwiło reżimom okupacji sowieckiej za żelazną kurtyną występowanie w roli przedstawicieli prawa, w roli konstruktywnej, przedstawiającej politykę narodową na wychodźstwie jako robotę antypaństwową, zdradę i konspirację przeciw własnemu społeczeństwu.

Tym niemniej trzeba stwierdzić, że w latach najtrudniejszych Polacy — bo wciąż o naszej sprawie tu mówimy — zrobili dużo w dziedzinie informowania świata o prawdzie życia pod komunistycznym reżimem. Nie trzeba się tutaj ani licytować ani wychwalać — zadanie informacyjne zostało zrozumiane przez większość polskich ośrodków politycznych.

Dziś nikt poważny w świecie nie próbuje nam udowadniać, że w Warszawie rządzą reprezentanci polskiego narodu, że się tam buduje demokracja i że ci rządcy o niczym innym nie myślą, jak o budowie potężnej, zamożnej, sprawiedliwej dla swych obywateli ojczyzny. Argumentów i faktów do analizy rzeczywistości politycznej jest dziś po tej stronie kurtyny aż za dużo. Stwierdziwszy to, należy oczekiwać jak przeróżne ciemne indywidua o pozmienianych imionach i nazwiskach, a nawet przynależności narodowej, znowu rozedrą faryzejskim gestem szaty na łamach sowieckiej prasy w Polsce i krzykną: sami przyznali! Informują, służą wywiadom, podżegają do wojny etc., etc. Trudno nawet powtórzyć wszystko, co ci obywatele radzieccy udający Polaków wypisują pod adresem emigracji. Nikt ich w tym nie przelicytuje. Żargon taki mógłby zaiste być oficjalnym językiem na samym dnie piekła. Inaczej jak z pianą na ustach mówić nie umieją.

Ważne jest to, co się rzekło wyżej: świat wolny wie doskonale jak się mają rzeczy nad Odrą i Wisłą. Że się o tym dowiedział tyle, ile się dowiedział, nie jest to ani szczególny zbieg okoliczności ani — znów to sobie ustalmy — jego zasługą. Na odwrót, za tę świadomość zapłaciły społeczeństwa okupowane tysiącami istnień ludzkich, które terror sowiecki rzucił za druty obozów koncentracyjnych czy na dno więzień. Bo dlatego, żeby się świat dowiedział, jak niesłuszna była ocena jałtańska — narody okupowane każdego niemal dnia dostarczały dowodów, opierając się zagładzie ich instytucji życia politycznego, religijnego, gospodarczego czy kultury i wychowania.

Z tej to, nierównej walki społeczeństw, pozostawionych i opuszczonych, rosły argumenty i świadomość Zachodu. Powtarzamy raz jeszcze: płaciły za to i płacą wciąż organizmy narodów okupowanych śmiercią i poniewierką najlepszych swych jednostek.

Wystarczy tam dzisiaj, w okresie nędzy i głodu, rzucić słowo protestu z powodu braku artykułów pierwszej potrzeby, żeby ten najbardziej nawet nieśmiały głos, został potraktowany, jako „służba imperializmowi anglo-amerykańskiemu".

A przecież, jeśli to się dzieje z takim nakładem ofiar i tak długo, to nie dla samej przyjemności uświadamiania nieuświadomionych. Jest to wciąż proces budzenia stwardniałego w naiwnym śnie sumienia wolnych narodów zanim będzie za późno, zanim spotka je ten sam los — i to w pełni posiadania najpotężniejszych środków działania. Żadne, nawet najkosztowniejsze zbrojenia nie wystarczą tam gdzie nie ma postawy i woli walki, gdzie jedno pociągnięcie pióra rzuci na złom tysiące czołgów i samolotów, a niewiedzący o co chodzi żołnierze zaczną demonstrować jedyną wolę — pójścia do domu. Broniąc siebie przed zagładą komunistyczną, narody za żelazną kurtyną mówią jednocześnie całemu światu, gdzie leży sedno sprawy.

Polityczne ośrodki emigracyjne musiały wykonać zadanie zespołu tłumaczącego te tragiczne głosy na język zrozumiały w gabinetach dyplomatycznych, rządowych i w redakcjach pism, mających wpływ na opinię wolnych narodów.

Praca ta będzie trwała nadal. Długotrwałość jej zależy od tego, kiedy się zmienią warunki niewoli za żelazną kurtyną na życie we własnym, niepodległym państwie. Mimo gigantycznych planów Zachodu nie widać, żeby sprawa ta szła naprzód.

Nie widać zaś dlatego, że do tej pory nawet najbardziej wnikliwy analityk polityki Zachodu nie potrafi odnaleźć w niej logicznej koncepcji przeciwstawienia się groźbie sowieckiego imperializmu. Jedna rzecz widoczna — to niekończące się kolumny cyfr, rzeki całe pieniędzy, płaconych przez podatników na budowę aparatu obrony. Jeśli jednak aparat ten będzie się wyrażał jedynie sumą środków technicznych i narzędzi wojny — trudno widzieć w nim konstrukcję logiczną. Rozwiązanie światowego kry-

zysu politycznego, spowodowanego olbrzymim wzrostem sił komunizmu, musi mieć za sobą tyleż pracy umysłu, wyobraźni i wiedzy — ile wysiłku ramion.

I dlatego po analizie rzeczywistości systemu sowieckiego, po demonstracji przezeń celów na obszarze połowy kontynentu europejskiego, przyszedł czas stworzenia jakiegoś logicznego i choćby najbardziej ogólnego planu działania. W planie tym zaś najważniejszą część zajmuje stanowisko i przyszłość okupowanych narodów. Jeśli się będzie ponad tymi problemami przechodziło do porządku dziennego pod pozorem podporządkowania wszystkiego doraźnemu celowi: zwalczenia groźby sowieckiej w świecie — będzie to działanie rozumowe, podobne temu, które po ostatniej totalnej wojnie sprowadziło na świat równie totalny chaos. Ani wojna ani zwycięstwo nie jest celem samym w sobie. Celem wszystkich działań ludzkich jest człowiek, żywy człowiek dzisiejszego pokolenia i pokoleń przyszłych. Z myślą o nim, o jego losie i o losie jego form życia w związkach społecznych i narodowych ma działać umysł wolnych ludzi, jeśli chcą zasłużyć sobie — choćby po tylu omyłkach — na wdzięczność potomności.

Traktowanie przeto problemów narodowych, państwowych i społecznych obszaru środkowo-europejskiego per „non sunt" w planowaniu zachodnim, odkładanie ich na mglistą przyszłość warte jest tyle, ile słynne powiedzenie brytyjskiego premiera po kapitulacji Włoch: „niech się smażą we własnym sosie".

Tymczasem nie widać, jak dotychczas, śladu konsekwentnego działania w stosunku do problemu europejskiego w ogóle, a w szczególności wobec Europy środkowej i wschodniej. Na przykładzie Polski widać to chyba najlepiej. Gdybyśmy, oczarowani obronnymi wysiłkami Zachodu, założyli ręce i czekali co z tego będzie — ładnie byśmy się z tego oczarowania obudzili! Przy największej pracowitości, zgodzie i rozumie politycznym trzeba Opieki Bożej i wielkiego szczęścia, żeby zrealizować najważniejsze cele: całość terytorium państwowego, tak jak je Polacy widzą niezbędnym dla życia, oraz realny polityczny i gospodarczy system współżycia w Europie po uwolnieniu spod okupacji.

Dlatego z okresu informacyjnego polityki polskiej, trzeba — i to bez dłuższego odkładania — przejść do stawiania wniosków z rzeczywistości na terenie kraju. Trzeba dokonać wielkiego wysiłku postawienia problemów polskich jako nieodzownej części konsekwentnego planu odbudowy politycznej świata.

Odpowiedzialność nasza przed narodem jest zbyt wielka, żebyśmy nie musieli zdobyć się na najwyższy wysiłek. Przychodzi czas, kiedy takie działanie jest kwestią naszej przyszłości. Polityka polska w stawianiu tych problemów spotka się niewątpliwie z taką samą niechęcią, z jaką w okresie pojałtańskim (tj. bezpośrednio po Jałcie) spotykały się najskromniejsze akcje, odsłaniające prawdę życia w warunkach reżimów marionetkowych. Tak, jak wtedy byliśmy „uneasy Poles", tak dziś będziemy „uneasy refugees". Albo „unrealistic", albo „narrow-minded". Dużo jest możliwości obdzielania epitetami tego, co jest po prostu naszą koniecznością życiową, co determinuje dalszy los narodu śmiertelnie zagrożonego długą walką.

Najbardziej prawdopodobną zaporą dla naszej akcji politycznej będzie powtarzany już do obrzydzenia brak politycznej jedności wśród Polaków. Odpowiedzialność ludzi, trzymających pod kluczem narzędzia do osiągnięcia tego wewnętrznego polskiego ładu przekracza jakiekolwiek sformułowanie słowne.

Niepodobna jednak czekać dłużej. Trzeba działać na podstawie znajomości elementów sytuacji krajowej, w posiadaniu argumentów i dostatecznych przesłanek do analizy — z tym co się ma w tej chwili.

Obok takich czy innych — może najbardziej nawet skromnych — rezultatów na terenie polityki Zachodu — uzyska się podstawę do formułowania żądań bezpośredniego mówienia do kraju o polityce polskiej. Bo tam tego potrzeba szczególnie. Nie trzeba ani podniecać do oporu, ani zbyt gorliwie szerzyć pogardy do okupanta, ani powtarzać lepszych czy gorszych dowcipów. Tego wszystkiego jest tam w ilości przekraczającej zapotrzebowanie. Nie ma natomiast jasnego obrazu dążeń polskich i naszego miejsca w polityce światowej.

Trzeba z cierpliwością ale i stanowczo tłumaczyć przedstawicielom mocarstw zachodnich, że brak ten może okazać się fatalny w dalszym rozwoju wypadków. Po tym, co się stało w latach 1944 i 1945, łatwo jest wśród Polaków posiać podejrzenie, że patetyczne lub dowcipne mówienie do nich nie jest niczym innym, jak rekrutowaniem pewnej ilości sił fizycznych. Jest w słowniku ulicznym Warszawy jedno niebezpieczne słowo, którym dziś określa się także wszelkie napuszone wynurzenia komunistyczne: lipa. Byłoby fatalne, żeby słowem tym wyrażano w Polsce stopień zaufania do wezwań nie mających żadnego poważniejszego pokrycia w postaci logicznego i odpowiadającego Polakom politycznego planu, mającego stanowić o losie naszego narodu i państwa.

Czasem milczenie polityczne Zachodu w naszych sprawach tłumaczone jest tym, że musi on grać na wszystkich klawiszach i wykorzystać wszystkie elementy. Polityka odpowiedzialna za losy narodu, rozumowania takiego nie może przyjąć za wystarczające. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że właśnie ten jeden, ten nasz klawisz zostanie w akordach zgrany do tego stopnia, aż ucichnie zupełnie. Gra na wszystkich klawiszach, jeśli odbywa się bez dobrej kompozycji jest tylko i wyłącznie kakofonią — czy to będzie polityka, czy koncert fortepianowy.

Jakiekolwiek będą przeszkody — a będą na pewno choćby te, które tu wymieniliśmy tylko przykładowo — polityka polska musi wejść w stadium największych wysiłków postawienia problemu polskiego w zespole problemów europejskich. I to wejść nie jako fragment czyichś koncepcji rolniczo-pastewnych czy naddunajskich, albo jeszcze jakichś innych, tylko jako element samodzielny — jako sprawa polska. Od stosunku mocarstw zachodnich do naszych sformułowań i postulatów zależeć będzie wiele. Przede wszystkim zaś postawa kraju. Tego kraju, który w planach sowieckich ma spełnić rolę niedostrzeganą przez polityków zachodnich, a tak fatalnie poniewczasie dostrzeżoną kiedyś przez Napoleona: rolę zwornika sklepienia europejskiego.

Społeczeństwu zaś naszemu, trwającemu w oporze wobec najazdów nie wystarczą ani propaganda, ani słowa otuchy, ani zapewnienia bez żadnego pokrycia. Kraj oczekuje spełnienia tego, dla czego złożył tyle ofiar i wysiłków: odbudowania niepodległego państwa.

ALEKSANDRA STYPUŁKOWSKA

FAŁSZYWY RODOWÓD I ISTOTNE CELE REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO

OD pewnego czasu teoretycy realizmu socjalistycznego biedzą się nad swoim rodowodem. Podrzutek, którym Polskę obdarzyła Matiuszka Rassija szuka uporczywie przodków w naszym kraju. Prawdziwych rodziców i dziadów nie znajdzie. Ale cóż prostszego dla komunisty jak fałszowanie metryk? Toteż panowie Sokorski, Żółkiewski, Morawski i inni pomniejsi spece przystąpili ochoczo do dzieła. Sprawa wydaje się pilna, gdyż nawet ci — liczni niestety — pisarze przedwojenni, którzy poszli na współpracę z reżimem, mają poważne obawy, „czy realizm socjalistyczny jest dla nich możliwy, czy da się w ich twórczości urzeczywistnić". Stworzenie dla pisarzy obciążonych dziedzictwem prądów międzywojennych jakiegoś zaplecza, jakiejś odskoczni ku nowym formom, które mają służyć zwycięskiej klasie jest dla politruków sprawą naglącą.

Komunizm zdeptał pogardliwie cały niemal dorobek twórczy okresu niepodległości, nazywając go wstecznym, imperialistycznym i dekadenckim. Wiadomo — i komuniści nie są tak ślepi, by temu zaprzeczyć — że kierunki artystyczne nie wyskakują jak Minerwa z głowy Jowisza. W rozwoju kultur istnieje ciągłość, ustawiczne czerpanie ze zdobyczy przeszłości mimo pozornie rewolucyjnych skoków i przemian. Więc narzuciwszy obcą narodowi koncepcję socrealizmu, próbują powiązać ją sztucznie z kierunkami, które w myśl dialektycznej interpretacji uznali w dziejach za postępowe. Wyłączywszy jedno ogniwo: personalizm, ekspresjonizm, symbolizm i inne kierunki określone jako idealistyczne, pozostawiając z dorobku młodopolskiego zaledwie szczątki, i to drastycznie okaleczone przez klasową wykładnię, komunistyczni teoretycy sztuki upatrują swe dziedzictwo w dziełach realistycznych. Tak tedy pierwszym stopniem pokrewieństwa w tym swoistym drzewie genealogicznym miałby być realizm krytyczny i jego czołowi przedstawiciele Tołstoj i Żeromski. Drugim — wynaleziony przez K. Wykę realizm romantyczny. Wreszcie na dalszym szczeblu — realizm wieku oświecenia.

Rozstrzygnąwszy w ten sposób zagadnienie sukcesji, komuniści zastrzegają się wszelako, że młodzi spadkobiercy historycznych realizmów nie mają w żadnym wypadku naśladować przodków bezkrytycznie. Następuje nieodzowny wykład dialektyczny o ekonomicznej bazie poszczególnych epok i wynikających stąd różnicach ideologicznej nadbudowy. Nawiązując do tradycji realizmu krytycznego, stwierdzają, że nie wskazał jedynej drogi postępu jaką była rewolucja proletariacka. Realizmy XVIII i XIX-wieczne posiadają — zdaniem komunistów — ten mankament, że opierają się bądź na postępowym realizmie, bądź na „wyimaginowanym, ewangelicznym chrześcijaństwie". Przejmowanie tych elementów od przodków-realistów byłoby oczywistą herezją. Godne uwagi jest w ich dziełach tylko to, co wyraża krytykę istniejącego podówczas ustroju i świadczy o rozdźwięku między artystą i klasą, z której pochodzi i z którą jest związany.

Wynikałoby więc, że realizm jest jakimś pojęciem samym w sobie. Przymiotniki: racjonalistyczny, romantyczny czy krytyczny określają tylko jego miejsce w historii. Mówiąc językiem powszednim, realiści wieków ubiegłych i początku naszego stulecia nie mogli „dociągnąć" do realizmu socjalistycznego, bo im na to nie pozwalała epoka. Ale realistami byli i to zapewnia im fotel antenatów. Szczególnym współczuciem krytyków cieszy się biedny Żeromski, który robił co mógł, a tylko przyszedł na świat zbyt wcześnie i obciążony dziedzictwem epoki nie dojrzał światła komunizmu.

Aneksja dawniejszych pisarzy, których mianowano realistami jest pospolitym nadużyciem. Ważna jest bowiem nie metoda pisarska: realistyczna, naturalistyczna, symboliczna czy inna. Krytyka krzywdy społecznej czy osobistej też jeszcze nie świadczy o postawie pisarza. Wielcy twórcy czerpią zawsze natchnienie w buncie przeciw niesprawiedliwości. Kim są — rozstrzyga założenie ideologiczne. Bohaterowie powieści o przodownikach pracy, stachanowcach czy pionierach planu sześcioletniego nie będą synami lecz bękartami Doświadczyńskich, Wokulskich i Judymów. Każda polemika z tezami komunistycznymi prowadzi nieuchronnie do kontrowersji: marksizm — chrześcijaństwo. Ideologiczne założenie nie jest pochodną takiego czy innego układu gospodarczo-społecznego, ale kategorią moralną i przeto niezmienną. Komunistyczna solidarność twórcy z walką, a właściwie z dyktaturą zwycięskiego proletariatu — nie znajdzie poprzedników w krytycyzmie Krasickiego, Prusa czy Żeromskiego. Nie może być związku między pisarzem, który walczył o wyzwolenie człowieka a jego domniemanym następcą, który jest heroldem jego ujarzmienia. Deklamacje o humanizmie komunistycznym nic tu nie pomogą. Sztuczne zacieranie tego rozdźwięku przy pomocy dialektycznych kruczków też nie zda się na nic. Nie będziemy przeczyć słuszności komunistycznej tezy o różnicach między prądami literackimi okresu oświecenia, ery pozytywizmu i dzisiejszej. Więcej. Utrzymujemy, że są to nie tylko różnice ale wręcz rozbieżności. „Ubojowienie" literatury, o które nawołują politrucy, jest pospolitym chuligaństwem i zachętą do denuncjatorstwa. Realizm socjalistyczny stanowi zaprzeczenie realizmu, polega bowiem na wypaczaniu rzeczywistości. Z bogatego i wspaniałego życia narodu polskiego w okresie niepodległości i wojny wybiera się z jednej strony postaci fikcyjnych czy prawdziwych prekursorów komunizmu i rozdmuchuje się ich rolę, mimo iż nie znaczyli nic gdy chodzi o rzeczywistość historyczną. Z drugiej strony podnosi się epizody ponure i haniebne do rzędu zjawisk typowych i miarodajnych. Gdy równocześnie przemilcza się cały dorobek Polski niepodległej w kulturze duchowej i materialnej, całe bohaterstwo Podziemia okazane w walce o prawdziwą wolność; gdy dalej głosi się bezczelne kłamstwa o entuzjazmie mas w stosunku do rabunkowej gospodarki sowieckiego okupanta — to zaprawdę trudno o bardziej koszmarne wykrzywienie obrazu rzeczywistości niż to, którym obdarza nas rzekomy „realizm" w komunistycznym wydaniu.

Drugim tropem, po którym węszy socjalistyczny realizm poszukując polskiego rodowodu, jest narodowa forma. Trzeba przecież nawiązać własną twórczość coute que coute do narodowego dziedzictwa. Podkreślając „wyższość warsztatu realistycznego" istruktorzy socrealizmu dopuszczają więc przynajmniej w zakresie formy — korzystanie z dorobku romantyzmu czy nawet Młodej Polski. Zgadzają się, choć niezbyt chętnie, na czerpanie wzorów językowych z dzieł nierealistycznych Słowackiego, Reymonta czy Tetmajera. Zaraz jednak, w obawie, by ich nie pomówiono o formalizm, zastrzegają się, że „narodowa forma" to nie tylko rozwinięcie rodzimej tradycji artystycznej, ale i powiązanie jej z treścią socjalistyczną. W żargonie dzisiejszych teoretyków sztuki wskazówka ta brzmi: „realistyczne studiowanie specyficznych cech rzeczywistości socjalistycznej narodu" (sic!). Proces ten dokonał się już rzekomo w Sowietach. Stąd prosty nakaz dla twórców: „Nasza literatura powinna przede wszystkim uczyć się od literatury radzieckiej". Otrzymujemy w ten sposób gotowy szablon. Cóż, że „instruktorzy" literaccy przestrzegają przed kopiowaniem Szołochowa czy Fadiejewa, jeśli równocześnie nawołują, aby powtórzyć drogę rozwojową literatury ZSRR, przejąć od niej „pozytywnych bohaterów", optymistyczne wątki i sam sposób kreślenia postaci. Trzeba ze smutkiem stwierdzić, że nasi reżimowi gorliwcy tak rygorystycznie stosują się do instrukcji, że prześcigają pierwowzór, unikając niemal wszystkiego co stanowi prosty.

ludzki odruch człowieka. Atmosfera polskiej prozy jest wskutek tego bardziej duszna niżli prozy rosyjskiej. Zdarza się nawet, że pisarze otrzymują wskutek tego reprymendy od bystrzejszych partyjnych krytyków.

Cóż jednak z ową szeroko reklamowaną „narodową formą"? W dzisiejszych warunkach daje ona pisarzowi ograniczoną sposobność korzystania z dorobku narodowego, choćby tylko w dziedzinie formalnej. Łudzić się nie należy. Przejrzyjmy kolejne wypowiedzi Stalina. W r. 1925: „Kultura proletariacka nie niweczy kultury narodowej, lecz daje jej treść, a kultura narodowa nie niweczy kultury proletariackiej, lecz daje jej formę". Formuła ta zostaje uzupełniona w r. 1929 innym oświadczeniem, w którym sowiecki dyktator stwierdza, że po zwycięstwie socjalizmu na całym świecie powstanie jeden ogólnonarodowy język. Ostatnio w odpowiedzi tow. Chołopowowi znów powraca do tego tematu, utrzymując, że zasada wzajemnego stosunku narodowej formy i proletariackiej treści nie będzie miała zastosowania z chwilą, gdy socjalizm zapanuje nad całym światem. Wynika więc, że kultury narodowe stopią się w jedną kulturę socjalistyczną. Na placu zostanie nowa kultura, posługująca się jednym językiem. Może wyobraźnia nasza nie jest tak bogata, aby nadążyć za wizjami Stalina. Trudno nam dopradwy wyobrazić sobie symbiozę kulturalną jakucko-duńsko-somalijską. Fantazje te nie byłyby groźne, gdyby nie ślad, na który naprowadza nas artykuł zamieszczony niedawno w sowieckiej „Litieraturnoj Gazietie" na temat języka w literaturze pięknej. Rozprawa potępia wschodni formalizm w literaturze ludów sowieckiej centralnej Azji, tradycyjne metafory wszystkich młodych literatur, które nie oderwały się jeszcze od folkloru i przeżytki symbolizmu w piśmiennictwie narodów bałtyckich. Słowem przekreśla się tu wszystko. co stanowi o kolorycie szczególnym literatur narodowych. Najistotniejsza jednak jest wypowiedź wspomnianego artykułu o zagadnieniu językowym. „Niezwykle ważne dla wszystkich literatur narodów socjalistycznych są zagadnienia wzajemnego wpływu języków, w szczególności kwestia zmian zachodzących w **zasobie słownikowym i nawet składni wielu języków pod wpływem języka rosyjskiego.**" W świetle tego twierdzenia dostrzegamy jasno, co miał na myśli Stalin, mówiąc o jednym języku i jednej kulturze socjalistycznej. Wprzód zniszczyć „przeżytki", potem narzucić słownictwo i składnię rosyjską — oto jest cel przesłonięty zasłoną dymną frazesów o socjalistycznej kulturze przyszłości.

Studia nad genealogią realizmu socjalistycznego prowadzone przez literatów politruków są spekulacją pozbawioną istotnego znaczenia. Prawdziwie groźna jest tendencja do podporządkowania Rosji kultur narodowych. Urojone jej posłannictwo w dziedzinie przeobrażenia świata znalazło nowe narzędzie w światowym komunizmie i towarzyszącym mu internacjonalizmie.

F. A. ARCISZEWSKI

III. Okres trzeci i zakończenie

O POLSKICH PRZYGOTOWANIACH DO WOJNY

(Dokończenie)

DOPIERO w lecie 1938 r., tj. w kilka miesięcy po wydarzeniach z marca, „...szef sztabu głównego dał... referatowi Zachód Oddz. III S. G. — jako wstępną pracę do planu zachodniego — polecenie przestudiowania na nowo i opracowania aktualnej oceny niemieckich sił zbrojnych oraz możliwości ich koncentracji" (257) (dwa podkreślenia własne).

29 września 1938 r. odbyła się słynna konferencja czterech wielkich mocarstw, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch, w Monachium, która wydała decyzję ustąpienia przed żądaniami niemieckimi i odstąpienia obszarów sudeckich Niemcom. Niemcy były tak dalece do tego kroku przygotowane, że wojska niemieckie zajęły Sudety niezwłocznie, a Czechosłowacja utraciła tym samym wszystkie swoje fortyfikacje graniczne.

1 października 1938 r. wojska polskie wkroczyły na Zaolzie.

Od jak dawna była ta operacja wojskowa planowana i wojsko do niej przygotowywane, transportowane i koncentrowane, o tym opracowanie Komisji Historycznej nie wspomina, choć musiało to zająć dość dużo pracy i czasu. Przeprowadzona w sposób drobiazgowy, a także z pewną pompą, nie pozostawiła ta operacja, jak dotąd, w historii wojskowej nawet śladu po sobie.

Historia wspomina natomiast, że „konferencja monachijska, zajęcie Sudetów przez Niemcy i polska akcja o odzyskanie Zaolzia spowodowały pewną przerwę w pracach sztabu głównego nad planem zachodnim" (257). Tu chodzi prawdopodobnie o prace, rozpoczęte w lecie 1938 r. z polecenia szefa Sztabu Głównego. Zadziwiający ten fakt jest dotąd oficjalnie niewyjaśniony. Zdaje się, że nastąpił on z powodu wyjazdu wielkiej ilości oficerów Sztabu Głównego na Zaolzie. Dopiero w parę miesięcy później „późną jesienią 1938 prace nad planem operacyjnym „Z" zostały podjęte na nowo, przy uwzględnieniu nowej sytuacji" (260).

Ta nowa sytuacja nie była jednak spowodowana tylko przez zajęcie Zaolzia. „Dnia 25 tego miesiąca (października) niemiecki minister spr. zagr. Ribbentrop wysunął wobec ambasadora R. P. w Berlinie Lipskiego, po raz pierwszy sprawę włączenia Gdańska do Niemiec i polepszenia komunikacji niemieckiej z Prusami Wschodnimi poprzez polskie Pomorze. Min. Beck odrzucił wszelkie sugestie niemieckie na ten temat, stwierdzając, że aneksja Gdańska przez Rzeszę nieuchronnie oznaczała by wojnę" (53).

Gdy to słowo już padło, wydawałoby się, że jest ostatni czas, by Generalny Inspektor Sił Zbrojnych wydał definitywne dyrektywy do opracowania planu operacyjnego przeciwko Niemcom, a Sztab Główny rozpoczął najenergiczniejszą pracę nad nim. To jednak ciągle jeszcze nie następowało.

„W styczniu 1939 r., w czasie pobytu min. Becka u Hitlera w Berchtesgaden, a następnie w czasie wizyty min. Ribbentropa w Warszawie, ta sama sprawa (Gdańska i komunikacji przez tzw. korytarz) wypłynęła ponownie" (54).

W lutym 1939 r. Oddział III Sztabu Głównego referował już, że „należy się liczyć z pogłębieniem południowego oskrzydlenia sił polskich przez wyjścia poprzez przełęcze karpackie..." (265).

Dopiero „w końcu lutego 1939 r. gen. inspektor sił zbr. dał wytyczne do planu operacyjnego Zachód szefowi sztabu gł. i polecił przystąpienie do szczegółowego opracowania planu" (260).

Dlaczego Generalny Inspektor zwlekał tak niesłychanie długo z wydaniem swojemu sztabowi tego rozkazu o podstawowym znaczeniu, jest dotąd niewyjaśnione. Posiadanie wątpliwej wartości paktu o nieagresję i tzw. prowizorycznego planu wojny nie mogło przecież być, przez 3 lata, dostatecznym zabezpieczeniem wobec z miesiąca na miesiąc narastającego niebezpieczeństwa niemieckiego. Według opracowania Komisji Historycznej „Deklaracja polsko-niemiecka o wzajemnej nieagresji ze stycznia 1934 miała zapewnić Polsce bezpieczeństwo jej granic zachodnich na najbliższych lat dziesięć. Polityka dała w ten sposób strategii możliwość uniknięcia rozproszenia wysiłku i skupienia całej uwagi w jednym kierunku—na wschód" (114). Wniosek taki jest jednak niewątpliwie za daleko idący; jest zanadto totalny i ryzykancki.

„W trakcie opracowania przez sztab wytycznych gen. inspektora sił zbr. z lutego nastąpiło zajęcie Czechosłowacji (15 marca), postawienie przez

Niemców znanych żądań Polsce (21 marca) oraz operacja niemiecka na Bałtyku, połączona z zajęciem Kłajpedy (23 marca), a grożąca równoczesnym zamachem na Gdańsk. Wypadki te z jednej strony zmieniały w znacznym stopniu założenie, na których oparł gen. inspektor swe wytyczne z lutego, z drugiej zaś zmuszały, z powodu bezpośredniego zagrożenia, do przyjęcia z miejsca gwałtownego tempa w konkretnych pracach i przygotowaniach wojennych tak sztabu jak i inspektorów armii. Rezultatem wytworzonych w ten sposób warunków pracy było, że plan nie został w całości zredagowany na piśmie" (260).

„W drugiej połowie marca (1939 r.) zawrzała we wszystkich istotnych komórkach naczelnych władz wojskowych gorączkowa praca. — Odłożono na bok*) niemal zupełnie już gotowy plan operacyjny wschodni i zabrano się z całą energią do planu zachodniego. — Przede wszystkiem trzeba było zmontować całokształt planu, gdyż dotąd istniały tylko zasadnicze jej zręby. Chodziło o to, aby rozpracować myślowo i sztabowo wszystkie istotne części składowe planu. Poza zasadniczą koncepcją, wyrażoną częściowo w zadaniach dla poszczególnych armji i w podziale sił oraz poza ogólnym zarysem O. de B. wszystko właściwie było jeszcze do zrobienia.**) Po ustaleniu i rozpracowaniu założeń operacyjnych i koncentracyjnych trzeba było przystąpić jak najszybciej do pracy nad następującymi częściami planu: plan transportowy, plan fortyfikacyjny, plan łączności, plan użycia lotnictwa, plan OPL. plan kwatermistrzowski, plan wycofania" (299). (Plan obrony przeciwlotniczej nie potrzebował być opracowany na nowo, bo był zasadniczo wspólny na wypadek zagrożenia ze wschodu i z zachodu) (334). „Komplikowała sytuację konieczność liczenia się z tym, że wojna może wybuchnąć każdej chwili, zanim jeszcze prace nad planem będą zakończone. Następstwem takiego stanu rzeczy była naturalna dążność do tego, aby pracować niejako pod kątem widzenia podwójnych terminów. t.j. aby w każdym dziale mieć na najbliższy czas choćby tylko jakiś najogólniejszy zarys planu tymczasowego, a niezależnie od tego pracować systematycznie nad planem zasadniczym" (300).

„Charakterystyczną cechą wszystkich powyższych prac było to, iż dotyczyły one i nadal niemal wyłącznie pierwszej fazy działań, tj. rozwinięcia wstępnego i działań obronnych na przedpolu oraz na przygotowanych pozycjach aż do wprowadzenia odwodów N.W. Przewidywań do dalszych faz wojny sztabowo nie rozpracowywano.***) „Drugą cechą charakterystyczną prac nad planem operacyjnym był i nadal brak ujęcia podstawowych części planu na piśmie. Wedle relacji płk. dpl Mareckiego, w lecie —, jak się zdaje w lipcu, — zamierzano przystąpić do ujęcia całego planu na piśmie. Miało ono objąć całość tzw. elementów decyzji, koncepcję, wykonanie ze wstępnym rozwinięciem sił polskich i przewidywania wychodzące już poza okres pierwszej bitwy. — Do tego jednak już nie doszło" (307).

Tak mówi historia o planach wojennych przeciwko Niemcom, przygotowywanych przez Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i jego Sztab Główny. Trudno jest do tego cośkolwiek dodać. I zdaje się nie potrzeba, bo konsekwencje tak opóźnionego planowania początku wojny względnie zupełnego zaniechania przygotowań do drugiej fazy działań, okażą się same w następnych tomach omawianego opracowania historycznego.

SYSTEM PRACY MARSZ. ŚMIGŁEGO

Wedle historii dotąd ujawnionej jednym z powodów bezhołowia, które zaistniało już po kilku dniach wojny, była doktryna tajemniczości marsz. Śmigłego. O tym jego systemie pracy i skutkach wydawania decyzji dopiero w ostatniej chwili lub nie ujawniania swych przewidywań wcale, a zatem jakby świadomej doktryny improwizacji, mówi opracowanie Komisji Historycznej w wielu miejscach:

„Marsz. Śmigły-Rydz nie zdradzał się nigdy ze swą oceną naszych możliwości w zbrojnym starciu z Niemcami" (115). „Nie zachowała się żadna taka część planu z marca 1939 r., która by zawierała myśl przewodnią gen. inspektora co do sposobu prowadzenia operacji" (271). „Dokumenty wręczone inspektorom armji nie zawierały myśli przewodniej zamierzonych operacji, ograniczając się jedynie do podania samego zadania danej armji, wraz ze wskazówkami wykonawczymi, oraz zadań sąsiadów w streszczonej formie" (271). „Cała praca nad planem chroniona była ścisłą tajemnicą. Dlatego została przyjęta zasada, że całość koncepcji może znać tylko kilku ludzi... (w sztabie). Inni oficerowie znali tylko fragmenty planu, które ich interesowały. Praca w tych warunkach była niewątpliwie trudna" (płk Marecki, 302). „Dowódcy armji planu operacyjnego nie znali. Znali oni tylko przypadające im zadania na pierwsze dni wojny. Ta metoda zachowania tajemnicy była odziedziczona po marsz. Piłsudskim, który ją stosował w nieuregulowanych warunkach personalnych i bojąc się dekonspiracji swych politycznych i wojskowych zamiarów. Stosowanie jej w chwili wybuchu wojny w 1939 dało wyniki ujemne, ograniczając inicjatywę wyższych dowódców i powodując nadmierne obciążenie naczelnego wodza i jego sztabu" (gen. Kutrzeba, 282). „Generalny Inspektor zdecydował nie czynić żadnych przygotowań do drugiej fazy" (277).

Chyba trudno by znaleźć w nowoczesnej historii jakiegokolwiek państwa europejskiego podobny sposób zastąpienia pisanych planów operacyjnych tak daleko posuniętą doktryną tajemnicy i improwizacji. Tajemnica tajemnicą, a jednak wojenne plany operacyjne powinny być przez sztab w odpowiednim czasie opracowane i, chociażby nawet w ostatniej chwili, doręczone dowódcom armii na piśmie. Jeżeli tego nie zdołano już zrobić, jak stwierdził płk Marecki (307), to powodem tego było wydanie podstawowych wytycznych Generalnego Inspektora dopiero w końcu lutego 1939 r., jak też jego system pracy.

Gdy wódz naczelny wielkiego wojska (52 wielkie jednostki, 306) nie dzieli się zawczasu myślami swoimi z podwładnymi dowódcami armij i to, dla uniknięcia nieporozumień, na piśmie, wówczas w razie zerwania łączności między naczelnym dowództwem a nim albo w razie zabicia naczelnego wodza przez bombę lotniczą, podwładni pozostaną bez kierownictwa i bieżąca bitwa przekształca się w walkę indywidualną coraz to niższych dowódców, aż do ostatecznego rozkładu.

O DOKTRYNIE WOJENNEJ

Sposób przygotowania oraz system prowadzenia bitew i wojny, czyli tzw. doktrynę wojenną, urabia sobie każde państwo, z czasem samo; zmienia ją w miarę nowego uzbrojenia lub rozwoju zdolności wojennych swoich generałów. Napoleon stworzył, swego czasu, swoją własną doktrynę, zupeł-

---

*) Teraz dopiero.

**) Tutaj widać wyraźnie jak nikłe znaczenie mógł mieć tzw. plan prowizoryczny, który przez 3 lata, miał zastępować pełny plan operacyjny.

***) Generalny Inspektor zdecydował nie czynić żadnych przygotowań do drugiej fazy bitwy (277).

Ballada o pożegnaniu

Przez wrota zbutwiałe, otwarte na oścież,
po ścieżce niepewnej, kluczącej wśród ostów
odeszli synowie.

Nad nimi się wzniosła sękata pięść ojca
jak buława hetmana nad ginącym wojskiem.
Odeszli synowie.

Na łysym pagórku nieruchoma grupa
kobiet zapatrzonych: w tamtą zawieruchę
odeszli synowie.

Chata się zgarbiła, przypadła do ziemi,
jakby chciała na dłużej zatrzymać ich cienie.
odeszli synowie.

A kundel kudłaty głowę w górę uniósł
i zawył przeciągle — on także zrozumiał.
Odeszli synowie.

Pięść ojca opadła (zabito hetmana),
oczy kobiet zaszły rosą czy też łzami.
Odeszli synowie.

Odeszli synowie.

Henryk Mirzwiński

nie odmienną od doktryn wodzów jemu współczesnych. I my mieliśmy kiedyś naszą własną doktrynę, za czasów husarii polskiej znanej w całej Europie.

Inną doktrynę mieli w r. 1939 Niemcy, inną Francuzi, Anglicy, Rosjanie. Nasza doktryna nie była jeszcze skrystalizowana i jednolita. Wobec z jednej strony sąsiada wschodniego, operującego przede wszystkim wielkimi masami ludzi, a z drugiej strony sąsiada, którego traktat wersalski zmusił do szukania zupełnie nowych form uzbrojenia i walki, polska doktryna wojenna powinna była być dostosowana do obydwu potencjalnych wrogów. Tymczasem, ogólnie rzecz biorąc, była ona w chwili wybuchu wojny dostosowana do walki z Rosją, ale była przestarzała w stosunku do Niemiec.

Zasadniczy postęp doktryny niemieckiej polegał na wprowadzeniu na pole bitwy zwartych dywizji i korpusów pancernych. Zmiana ta następowała dość jawnie, na oczach całej Europy. Niemiecka literatura fachowa propagowała rozwój broni pancernych już w pierwszych latach po zakończeniu pierwszej wojny światowej i czyniła to konsekwentnie przez cały okres międzywojenny. O manewrach niemieckich wojsk zmotoryzowanych, z uporczywie się powtarzającym udziałem czołgów pozorowanych, pisano często. Stworzenie pierwszej dywizji pancernej nastąpiło w r. 1934-5. Pomimo tego Europa była w r. 1939 niemieckimi dywizjami pancernymi zaskoczona. We Francji nie doceniano ich znaczenia z powodu zapatrzenia się w linię Maginota, w Polsce z powodu zapatrzenia się na wschód. A wspomnieć trzeba, że np. gen. T. Rozwadowski, strateg niezwykle bystry i wszechstronny, domagał się już w r. 1923 formowania oddziałów pancernych, zdolnych do samodzielnego działania, to znaczy zaczął już wówczas stawiać pierwsze, śmiałe kroki po linii myślowej, którą później kroczyli twórcy niemieckich dywizji pancernych.

Dostosowanie polskiej doktryny wojennej do naszych specyficznych warunków geograficznych i politycznych oraz nadanie jej form bardziej nowoczesnych, mogło nastąpić tylko przy intensywnej pracy nad przygotowaniem się do ewentualnej wojny z Niemcami na równi jak do wojny z Rosją. Tego jednak, jak już poprzednio wspomniano, co najmniej przez 9 lat nie było. Ostatecznie nie wyprodukowano, aż do rozpoczęcia wojny, ani doktryny bardziej nowoczesnej, ani nawet doktryny zupełnie jednolitej. Wśród naszych przedwojennych inspektorów armii wielu wyznawało różne doktryny, odróżniające się od doktryny całego młodszego pokolenia oficerów sztabowych i młodszych generałów, którzy przeszli systematyczne przeszkolenie w wyższych szkołach wojennych. Generalny Inspektor miał może też swoją własną doktrynę, ale się z nią nie zdradzał.

ZABRAKŁO OFICERÓW?

Niestety nasze najwyższe władze wojskowe uważały „równoczesne opracowanie dwóch planów... za technicznie niemożliwe" (gen. W. Stachiewicz, 257).

Ostatecznie można zrozumieć stanowisko, że prowadzenie w o j n y na dwa fronty nie było możliwe, argumentacja jednak, że równoczesne opracowanie dwóch p l a n ó w było niemożliwe, nie wydaje się dość umotywowana. Względy „techniczne", o których mowa, mogły dotyczyć chyba tylko braku oficerów do pracy. Oddział II Sztabu Głównego pracował przecież od dawna na dwa fronty, a Oddział mobilizacyjny od r. 1935 również. Czyż naprawdę przez 9 lat (1926 — 1935) nie można było znaleźć jeszcze tylu oficerów aby równocześnie z planem Wschód opracować pełny plan Zachód?

W latach 1926 - 29 zostało przecież wielu oficerów zwolnionych z wojska. Że wymienimy tylko takich generałów, jak gen. Rozwadowski, gen. S. Haller, gen. Sikorski, gen. Kuliński, gen. Kukiel, gen. Zagórski, z których każdy mógł z dużym pożytkiem dla sprawy wziąć udział w opracowaniu planu operacyjnego przeciw Niemcom. Wielu bardzo zdolnych oficerów dyplomowanych i nie dyplomowanych zostało też przeniesionych do administracji cywilnej na stanowiska wojewodów, ministrów, premierów, dyrektorów różnych przedsiębiorstw państwowych itp. Prawie 3.000 oficerów usunięto wówczas z wojska. Jeżeli więc przyczyną techniczną, która spowodowała, że równoczesne opracowanie dwóch planów było niemożliwe był faktycznie brak oficerów, to stwierdzenie tego faktu byłoby dowodem, że masowe zwolnienie oficerów z wojska w latach 1926-29 odbiło się ujemnie aż na opracowaniu planów operacyjnych do kampanii wrześniowej 1939 r., a zatem i na jej przebiegu.

Ani brak oficerów, ani posiadanie paktu o nieagresję z Niemcami, ani też wstąpienie polityki MSZ w latach 1932-39 w okres lawirowania między dwoma potężnymi sąsiadami, nie mogły upoważnić Generalnego Inspektora do zaniechania planów operacyjnych przeciwko Niemcom przez tak długi okres.

* * *

Historia dowodzi, że sprawy obrony państwa cierpią, gdy wódz naczelny sił zbrojnych chce być równocześnie wodzem narodu i pochłonięty sprawami polityki wewnętrznej, mianowaniem premierów, formowaniem nowych partii politycznych — nie ma dość czasu dla spraw wojskowych. Dowodzi to złej organizacji najwyższych władz państwowych aż do konstytucji r. 1935 włącznie. Gdy wódz naczelny nie jest odpowiedzialny wobec rządu, prowadzącego politykę zagraniczną, lecz tylko wobec Prezydenta R.P., który ze swej strony odpowiada tylko wobec Boga i historii, to system taki wykazuje swe błędy dopiero w historii, gdy nieszczęście już się stało, tzn. za późno.*)

Wniosek taki bynajmniej nie ma na celu stwierdzenia, że nie byłoby klęski wrześniowej, gdyby np. plany operacyjne były gotowe o kilka lat wcześniej, albo gdyby reakcje Sztabu Głównego na posunięcia polityczne Hitlera były szybsze. Tego twierdzić nie można. Bo nawet najlepszy plan wojskowy nie zbudowałby parasola przeciwbombowego nad całą Polską, ani nie zmniejszyłby ilości niemieckich dywizji pancernych, ani nie powstrzymałby Rosji od pchnięcia nas nożem w plecy. Przemoc niemiecka była za duża, abyśmy mogli jej sprostać bez szybkiej pomocy Francji i Anglii, która nie nadeszła.

Natomiast jest prawdopodobne, że przez nieprzerywane i bardziej gruntowne studia i prace nad planem operacyjnym przeciwko Niemcom, można było dojść wcześniej niż dopiero w r. 1935 do wniosku o konieczności reorganizacji i przezbrojenia naszych sił zbrojnych. Plany operacyjne mogły być pełniejsze i lepsze, nasz opór na skutek tego mógł być może nieco dłuższy, sama bitwa dałaby może więcej lokalnych zwycięstw, może uratowano by też więcej zwartych jednostek do dalszej walki na zachodzie Europy — a przez to i poczucie klęski byłoby nieco mniejsze. Bo chęci do walki w narodzie naszym nie brakło.

*) System pracy rządu przedwojennego i jego dekompozycję opisuje autorytatywnie b. premier Sławoj-Składkowski w artykułach pt. „Opowieści administracyjne czyli pamiętnik niebohaterski", ogłoszonych w „Kronice" Nr Nr 7, 8, 9/1951 r.

KANADA W POLITYCE ŚWIATOWEJ

Montreal, w grudniu

W TYM roku mija dwadzieścia lat od chwili wejścia w życie statutu westminsterskiego, nadającego konkretne formy organizacyjne największemu w świecie związkowi państw — Brytyjskiej Wpólnocie Narodów. Statut westminsterski był niejako usankcjonowaniem emancypacji poszczególnych dominiów brytyjskich, uznaniem ich całkowitej niezależności wewnętrznej i oparciem dalszej współpracy na zasadzie kompletnej równości. Formalnie oznaczało to przekształcenie Imperium Brytyjskiego, rządzonego centralnie z Londynu, w wspólnotę narodów związanych tylko unią personalną w osobie monarchy i rozłożenie odpowiedzialności za całość interesów dawnego Imperium na wszystkie jego cywilizowane narody. W praktyce jednak, znaczenie kraju macierzystego Wielkiej Brytanii było wciąż ogromne.

Twórcy statutu westminsterskiego nie przewidywali zapewne jak burzliwy będzie okres następujących dwudziestu lat w świecie i jak bardzo wydarzenia te odbiją się na przyspieszeniu procesu realizującego jego za-

sady. Ostatnia wojna, wywołany przez nią okres niepokoju i zagrożenia świata zachodniego przez Rosję Sowiecką, odbiła się wyraźnie na strukturze Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Wielka Brytania położona w części świata najbardziej narażonej na działanie tych skutków wyszła z wojny poważnie osłabiona i dalej walczy z piętrzącymi się trudnościami. W tym samym czasie zamorskie dominia posunęły się znacznie naprzód zarówno pod względem rozwoju ekonomicznego jak i dojrzałości politycznej. Wśród nich na czoło wysuwa się „Dominium Północy" — młodsza siostra Stanów Zjednoczonych — Kanada.

W końcu wieku XIX Kanada była obiecującym krajem, trudno jednak było przewidzieć, że postęp jej na przestrzeni następnego półwiecza pójdzie naprzód w tak szybkim tempie. Zarówno położenie geograficzne Kanady jak i jej bogactwa naturalne przeznaczały ją do roli, jaką dziś zaczyna odgrywać w świecie. Ze zmniejszaniem się znaczenia Europy i przesuwaniem się ośrodka ciężkości w gospodarce i polityce świata na kontynent północno-amerykański, Kanada jako jedyny (poza ciągle jeszcze zacofanym Meksykiem) sąsiad Stanów Zjednoczonych, znalazła się niejako w orbicie rozwoju Ameryki i warunki te potrafiła w pełni wykorzystać.

U podstaw dzisiejszej wzrastającej wagi Kanady w świecie leży niewątpliwie jej zadziwiający rozwój ekonomiczny. Pięćdziesiąt lat temu gospodarka kanadyjska nosiła jeszcze wszelkie znamiona gospodarki pionierskiej i oparta była głównie o rolnictwo. W okresie ostatniego półwiecza Kanada przeżyła szybką rewolucję przemysłową i znalazła się w rzędzie krajów najlepiej postawionych gospodarczo. Powstał bogaty i różnorodny przemysł, posunął się znacznie związany z nią wzrost miast, struktura ludności przesunęła się wyraźnie na korzyść zawodów bardziej wyspecjalizowanych i rozwinął się szeroki handel zagraniczny. Biorąc pod uwagę niewielką ciągle ilość ludności w Kanadzie — nie przekraczającą obecnie 14 milionów — pozycja Kanady jako szóstego w świecie producenta towarów przemysłowych i czwartego pod względem wysokości obrotów uczestnika handlu międzynarodowego jest naprawdę wyjątkowa. Co ważniejsze, proces ten nie jest jeszcze zakończony. Kanada pod względem gospodarczym ciągle jeszcze posiada możliwości dalszego rozwoju w przyszłości.

Tak zasadnicze przemiany gospodarcze nie mogły pozostać bez wpływu na procesy polityczne w społeczeństwie kanadyjskim. Zacieśniająca się wspólnota ekonomiczna, wzrost dobrobytu i budzenie się poczucia siły materialnej — doprowadziły do zbliżenia się zwaśnionych prowincji i wreszcie do powstania kanadyjskiej polityki zagranicznej. O ile jeszcze w latach dwudziestych Kanada była ciągle związkiem sfederowanych, ale jakże odrębnych w swoim charakterze prowincji, o tyle lata następne przyniosły zasadniczy odpływ trudności wewnętrznych. Niewątpliwie wielką rolę odegrał tu kryzys ekonomiczny na początku lat trzydziestych, który wprowadzając większe skomplikowanie zagadnień gospodarczych, przyniósł konieczność ich centralnej kontroli przez rząd federalny. Ważniejszym może jednak faktem była budząca się powoli świadomość poczucia jedności narodowej wśród Kanadyjczyków i odbrębności ich interesów od innych społeczeństw. Oba te czynniki poparte przez liberalny system federalny zostały wykorzystane przez umiejętne kierownictwo polityczne (głównie człowieka tej miary co Mackenzie King) i doprowadziły do zacieśnienia się jedności wewnętrznej kraju.

Następnym krokiem musiały być usamodzielnienie się i próby krystalizacji kanadyjskiej polityki zagranicznej, która do okresu lat trzydziestych właściwie nie istniała. Problemy polityki zagranicznej rzadko były dyskutowane w parlamencie kanadyjskim. Kraj ten uchylał się od przyjęcia na siebie jakichkolwiek zobowiązań międzynarodowych, nie czując się do nich przygotowany, a kiedy musiał już zająć jakieś stanowisko przeważnie pokrywało się ono z polityką brytyjską. Udział Kanady w pierwszej wojnie światowej, wejście do Ligi Narodów, były niewątpliwie wynikiem tych wpływów.

W przededniu drugiej wojny światowej okres ten zdawał się zbliżać do końca. Kanadyjczycy świadomi swojej wzrastającej siły gospodarczej zaczęli się coraz więcej interesować zagadnieniami ogólnoświatowymi i powoli zdawali sobie sprawę z wynikających z tego obowiązków. Kiedy przyszła chwila decyzji parlament kanadyjski jednogłośnie powziął uchwałę o przystąpieniu do wojny. Kanada świadomie stanęła do walki i jej wkład wojenny, zarówno wojskowy jak i ekonomiczny, w stosunku do środków jakimi dysponowała, był olbrzymi. Co więcej, po raz pierwszy w historii na rząd kanadyjski spadł obowiązek pośredniczenia pomiędzy Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, z którego wywiązał się on z dużym powodzeniem.

Od r. 1945 aż po kryzys koreański rola Kanady na terenie międzynarodowym stale wzrasta. Od początku istnienia Organizacji Narodów Zjednoczonych Kanada przyjęła na siebie poważne zobowiązania w stosunku do tej instytucji. Gdy polityka Zachodu wobec groźby agresji sowieckiej zaczęła przybierać bardziej zdecydowane oblicze, Kanada przystąpiła do paktu atlantyckiego jako jeden z jego nieodzownych, a może i najsilniejszych partnerów. W chwili wybuchu wojny koreańskiej zajęła stanowisko popierające politykę Narodów Zjednoczonych i jedna z pierwszych wypełniła wynikające z tego zobowiązania wojskowe.

W chwili obecnej zarysowuje się coraz wyraźniej samodzielna linia polityki zagranicznej Kanady. Nie znaczy to jednak, aby była ona wytworem samodzielnej kanadyjskiej myśli politycznej, choć i ta zaczyna powoli się budzić — jest ona raczej wynikiem wpływów oddziaływających na ten kraj. Przede wszystkim należy tu wymienić wpływy brytyjskie, amerykańskie i więcej może kulturalne — odnoszące się szczególnie do francuskiej części społeczeństwa — wpływy francuskie. Najsilniejsze jak dotąd wydaje się być znaczenie Wielkiej Brytanii, formalnie podkreślone przez przynależność Kanady do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Groźnym rywalem tych wpływów są jednak już dziś Stany Zjednoczone. O ile związki Kanady z Wielką Brytanią sięgają raczej przeszłości, wpływy amerykańskie rosną w latach obecnych. Bliskość obu tych krajów, duże podobieństwo systemów ekonomicznych — w odróżnieniu od innych krajów Wspólnoty Brytyjskiej pozostających w obrębie innych systemów gospodarczych i monetarnych — prowadzi do pogłębiającego się z każdym dniem wpływu amerykańskiego na Kanadę. W dziedzinie gospodarczej USA zapewne prześcignęły już Wielką Brytanię. Ekonomia kanadyjska jest dziś w dużym stopniu uzależniona od Ameryki, czego dowodem może być chociażby, że jest ona największym nabywcą towarów amerykańskich. Z drugiej strony produkcja kanadyjska pozostaje pod silną kontrolą amerykańskich przemysłowców, którzy zainwestowali w tym kraju 1/3 amerykańskiego prywatnego kapitału. Podobieństwa systemu ekonomicznego, zbliżony poziom życia muszą prowadzić do upodobniania się sposobu myślenia i zacieśniania się więzów kulturalnych. Na dłuższą metę w rozgrywce o wpływy w Kanadzie Stany Zjednoczone są w o wiele dogodniejszej pozycji niż biedniejsza i odległa Wielka Brytania.

Dzisiaj jednak jeszcze wpływy te ciągle są silne, i w odniesieniu do polityki zagranicznej Kanady można powiedzieć, że wybiera ona pomiędzy Londynem a Waszyngtonem. W fakcie tym leży przyczyna dlaczego już dziś możemy mówić o polityce zagranicznej Kanady. Nie znaczy to, aby była ona zupełnie samodzielna — w wielu wypadkach jednak, wskutek ścierania się w Ottawie często przeciwstawnych sobie wpływów, jest różna od polityki brytyjskiej czy amerykańskiej. Nawet, gdy wchodzi tu w grę zwykły kompromis pomiędzy oddziaływającymi siłami, nadal pozostaje czymś odrębnym. I właśnie ta odrębność stanowi fakt, dla którego Kanada zaczyna być coraz bardziej brana pod uwagę na terenie polityki światowej. Należy pamiętać także, że poczucie odrębności budzi zwykle ambicje samodzielności. Wpływ tego możemy znaleźć w przemówieniu ministra spraw zagranicznych Kanady Pearsona, który wręcz oświadczył, że Kanada nie zamierza iść w rydwanie polityki amerykańskiej. Trudno jest osądzić, jak daleko wpłynęły na to oświadczenie związki Kanady z Wielką Brytanią, wątpliwe jest jednak, aby miało to oznaczać, że Kanada będzie popierać bez zastrzeżeń politykę brytyjską. Był to raczej wyraz wzrastającej ambicji.

Z punktu widzenia dzisiejszej poli-

tyki polskiej, Kanada długo jeszcze zapewne nie będzie krajem o pierwszorzędnym znaczeniu. Nie dowodzi to jednak, aby wolno nam było nie doceniać jego znaczenia. Kanada nie jest na pewno mocarstwem o światowej skali, jest to jednak kraj przyszłości, kraj wzrastający stale na znaczeniu i dlatego też warto bacznie śledzić jego coraz szybciej postępujący rozwój.

Adam Bromke

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

DWIE KSIĄŻKI O CHINACH KOMUNISTYCZNYCH

Derk Bodde: PEKING DIARY — A YEAR OF REVOLUTION. Jonathan Cape. Londyn, 1951. Stron 292.

Autor. naukowiec amerykański, przebywał w Chinach przez czas dłuższy w okresie przedkomunistycznym (w latach 1931-37) i znalazł się znowu w Pekinie w okresie przełomowym, gdy dokonywało się zwycięstwo sił komunistycznych nad reżimem kuomintangowskim (1948-49). Jako „fellow tzw. Fulbright Programu", w którego ramach wysyłano wielu Amerykanów do krajów będących w czasie drugiej wojny światowej sprzymierzeńcami Ameryki w celu prowadzenia studiów. badań naukowych, akcji odczytowych itp. skierowany był do Chin.

Książka jest pamiętnikiem ujmującym wrażenia i spostrzeżenia autora z dnia na dzień i dotyczące wielu dziedzin. Niektóre fakty czy uwagi mają znaczenie przemijające, inne mają charakter ogólniejszy i bardziej trwały. Streszczanie takiego postrzępionego materiału jest oczywiście niecelowe. Autor jednak sumuje niejako swoje spostrzeżenia i wprowadza do nich pewien ład na końcowych stronach książki. Oto, jak mniej więcej wygląda ten nieco usystematyzowany pogląd autora na przewrót dokonany w latach 1948-49 w Chinach.

Według Boddego — to, co się stało w Chinach, przynajmniej według stanu z końca 1949 r., nie stanowiło z punktu widzenia gospodarczego jeszcze komunizmu. Program „nowej demokracji" zawierał takie punkty, jak reformę rolną idącą w kierunku nowego podziału ziemi, racjonalizację handlu i przemysłu przy wprowadzeniu kontroli państwowej, popieranie ruchu spółdzielczego, związków zawodowych i organizacji rolniczych (chłopskich), wreszcie coś w rodzaju systemu bezpieczeństwa socjalnego, oczywiście w stadium początkowym. Jak dotąd, kolektywizacja ziemi nie jest przewidziana (pewne wyjątki w Mandżurii), prywatny kapitał nie jest wyłączony z gry, brak nawet tak elementarnych zarządzeń, jak racjonowanie żywności czy stopniowanie podatku dochodowego. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w dziedzinie gospodarczej reżim komunistyczny zachowuje ostrożność i reformy stosuje stopniowo. Mimo to marksistowski pogląd na życie jest dla komunistów chińskich jedyną i ostateczną prawdą.

Autor w związku z tym dostrzega wśród komunistów chińskich pewne charakterystyczne cechy. które spotyka się skądinąd w ruchach typowo religijnych, jak entuzjazm, bezinteresowność i poświęcenie, troska o upośledzone masy, idealizm, uczciwość oraz gotowość podjęcia największych trudów i ciężarów dla osiągnięcia postawionego sobie celu.

Autor jest przekonany, że komuniści mogą się okazać czynnikiem moralnego odrodzenia, czy choćby wzmocnienia i odświeżenia Chin. Wnoszą oni to, czego Chinom dotąd brak — dyscyplinę, twórczą świadomość celu, wiarę w człowieka i jego zdolność poprawienia swych warunków życiowych. impuls do zgodnego wysiłku dla osiągnięcia jakiegoś wspólnego celu, troskę o podniesienie dobrobytu mas, rozbudzanie świadomości politycznej w tych masach, wpajanie w inteligencję potrzeby dostrzeżenia i respektowania szarego człowieka, domaganie się wysokiego poziomu moralnego i nieprzekupności wśród ludzi zajmujących stanowiska publiczne i urzędy, zerwanie z systemem faworytyzmu i uprzywilejowania pewnych jednostek i warstw. „Jestem przekonany — pisze autor po wyliczeniu wszystkich tych dodatnich cech — że Chiny mogą z korzyścią dla siebie wiele się nauczyć od Nowej Demokracji" (str. 260).

Obok świateł są jednak i cienie. Zjawia się agent „specjalnej służby"; można słyszeć groźby użycia siły, jeśli argumenty i moralizowanie nie dają rezultatu; szufladkowanie jednostek i wpychanie ich gwałtem do różnych organizacji zawodowych i innych celem tym łatwiejszego nimi kierowania; podział na dwie zasadnicze grupy — niewielkiej kierowniczej i ogromnej kierowanej; narzucanie określonej ideologii poprzez manipulowaną prasę. urabianą z góry twórczość literacką i artystyczną itd.

Bodde w słowach bardzo stanowczych potępia poprzedni reżim Kuomintangu, zarzucając mu chciwość i korupcję. cynizm i apatię, głupotę i niezdolność nawiązania kontaktu z szarym człowiekiem. Powrót do władzy tego ruchu politycznego, który się tak gruntownie skompromitował, wydaje się mu niemożliwy: „The Kuomintang is through" — brzmi jego werdykt.

Bodde jest. jakby się wydawało, liberałem starego pokroju. Wierzy — trochę naiwnie — w istnienie drogi pośredniej, po której mogłaby pójść ewolucja stosunków w Chinach współczesnych. drogi różnej od tej, po której potoczyły się wydarzenia w krajach europejskich znajdujących się pod panowaniem komunistycznym. Opiera on te swoje nadzieje na strukturze gospodarczej Chin. na ich olbrzymim obszarze i ludności w przewadze swej niekomunistycznej, na ich tradycji i usposobieniu narodowym, na silnych (?) związkach kulturalnych i handlowych, łączących je z krajami Zachodu, wreszcie na rzekomych poważnych i licznych rozbieżnościach teoretycznych i praktycznych dzielących komunistów chińskich od komunizmu ortodoksyjnego — czyli moskiewskiego.

„Mając te czynniki na uwadze zrozumiemy, że wysiłek w kierunku osiągnięcia „modus vivendi" z nowymi siłami w Chinach z pewnością zasługuje na podjęcie" — pisze w konkluzji autor na str. 265. To nam też tłumaczy. dlaczego książka nie bardzo przekonywająca autora amerykańskiego, bliżej nieznanego. została wydrukowana w Anglii.

John Blofeld: RED CHINA IN PERSPECTIVE. Allan Wingate. Londyn, 1951. Stron 242.

Blofeld jest Anglikiem, który znaczną część swego życia spędził w Chinach. Jego książka ma ambitniejsze założenia od poprzednio omówionej, ocena dzisiejszej rzeczywistości chińskiej rzucona jest bowiem na tło historyczne, które niejedno zjawisko aktualne pozwala zrozumieć.

„Ojciec rewolucji" chińskiej, dr Sun Jat Sen, jakkolwiek silnie związany z życiem umysłowym i ideowym Zachodu, jednak. zwłaszcza pod koniec swego życia, czerpał niejedną inspirację z Moskwy. On to też młodego wówczas oficera. Czang Kai Szeka wysłał na przeszkolenie wojskowe do Rosji. Jednak cała jego postawa i jego program polityczny i społeczny różniły się w pewnych zasadniczych punktach od doktryny komunistycznej. Nie uznawał on nigdy konieczności walki klasowej i do końca swego życia wyznawał pogląd, że udana rewolucja przeprowadzona przez warstwy średnie, jak to miało miejsce w Chinach poprowadzi w swoim czasie do wychowania mas i do stopniowego objęcia przez nie władzy. Jakkolwiek więc elementy komunistyczne stanowiły pewną część sił zmobilizowanych przez Sun Jat Sena, nie wycisnęły one na jego doktrynie i działalności wybitniejszego piętna. Sprowadzone jednak do Chin sowieckie misje polityczne i wojskowe (Borodin i gen. Blücher) były skutecznym narzędziem infiltracji i niewątpliwie w dużej mierze przyczyniły się do okrzepnięcia i wzrostu sił komunistycznych w Chinach.

Książka Blofelda nie tłumaczy dostatecznie enigmatycznej nieco postaci gen. Czang Kai Szeka. Jedno wydaje się pewne. że wcześnie zrozumiał niebezpieczeństwo komunistyczne i że zwalczał je konsekwentnie, choć w walce tej uległ. Mimo to motywy tej akcji antykomunistycznej nie są dostatecznie jasne. Blofeld przedstawia

Czianga jako człowieka o nienasyconej ambicji, jako egoistę, opanowanego żądzą władzy, który nie znosił opozycji i gotów był zawsze zwalczać ją na drodze wojny domowej. Autor zarzuca Cziangowi ustępliwość wobec Japończyków w przeciwieństwie do komunistów, którzy stawiali energiczne czoło inwazji japońskiej. To ich stanowisko budziło sympatię dla nich w szerokich masach społeczeństwa.

Kuomintang, założony przez Sun Jat Sena, stawał się coraz bardziej partią reakcyjną i oddalał się coraz bardziej od programu swego założyciela. Kraj uginał się pod ciężarem podatków. wielcy właściciele ziemscy uciskali chłopów, urzędy były siedliskiem korupcji. Zgniły ustrój kuomintangowski był według autora obrazem chciwości, nielojalności i głupoty bez analogii w historii współczesnej.

Autor daje częściowo przynajmniej rozwiązanie tej zagadki, jaką był ruch rewolucyjny zapoczątkowany przez Sun Jat Sena, którego początkowy idealizm i dobre zamiary skończyły się w ciągu 40 lat tak kompromitująco, że nic prawie z niego nie zostało. Otóż wysokie poczucie etyczne, które zarówno w masach jak i w kołach urzędniczych i inteligencji utrzymywała wiara konfucjańska rozpłynęło się wskutek ustania w tym samym okresie wszelkiej zorganizowanej religii, nie zastąpionej niczym równie wartościowym. W Chinach współczesnych utrwala się nihilizm etyczny, źle wróżący na przyszłość.

Autor zaprzecza poglądom, jakoby sukces sprawy komunistycznej zawdzięczać należało interwencji Moskwy.

Wydaje się, że rząd Cziang Kai Szeka odznaczał się istotnie nieudolnością i że komuniści umiejętnie potrafili zmobilizować na swoją korzyść długo narastające niezadowolenie mas.

(m. ost.)

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

ŚP. DR B. SKOWROŃSKI

Dr Bronisław Skowroński, lekarz, kapitan, naczelny lekarz Polskiego Czerwonego Krzyża we Francji w latach 1940 — 1941, przed wojną kierownik szpitala Sióstr św. Wincentego à Paulo w Gdyni, członek Stronnictwa Narodowego, działacz Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" i innych organizacji społecznych, jeden z założycieli miasta Gdyni, zasłużony w polskim Ruchu Oporu we Francji w czasie drugiej wojny światowej, zmarł nagle 17 grudnia 1951 r. w La Tronche obok Grenoble (Francja), po pracowitym i ciężkim życiu na tułaczce, przeżywszy 59 lat. Pogrzeb z udziałem władz francusKich i przedstawicieli organizacji polskich we Francji odbył się 19 grudnia 1951 r. na cmentarzu w Corene (Isère).

Cześć pamięci dzielnego Polaka i lekarza!

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

NABOŻEŃSTWO ZA DUSZĘ ŚP. ROMANA DMOWSKIEGO

W rocznicę zgonu śp. Romana Dmowskiego została odprawiona w Londynie w Brompton Oratory msza św. żałobna, celebrowana przez ks. inf. B. Michalskiego w asyście ks. prob. W. Judyckiego.

Na nabożeństwo przybyła liczna publiczność.

OPŁATEK STRONNICTWA NARODOWEGO

„Opłatek", organizowany tradycyjnie przez Wydział Londyński Stronnictwa Narodowego, odbył się w tym roku w dużej sali Ogniska Polskiego w dniu 3 stycznia.

Przybyłych powitał kierownik Wydziału Londyńskiego, płk T. Wasilewski, po czym nastąpiło łamanie się opłatkiem wzdłuż stołów zajętych przez członków Stronnictwa. Po skromnej wieczerzy zabrał głos imieniem władz centralnych SN mec. E. Sojka. W dłuższym przemówieniu poprzedzającym życzenia szczególną uwagę poświęcił krajowi i sprawie pracy politycznej młodzieży na emigracji. Odśpiewano kilka kolęd. P. Wasiutyński odczytał trawestację fragmentu „Pana Tadeusza". Panie z Wydziału Londyńskiego rozdały zebranym drobne upominki. Wieczór zakończył się pogawędką towarzyską i tańcami.

Uderzał w tegorocznym spotkaniu bardzo liczny udział najmłodszych członków Stronnictwa.

* * *

Koło Stronnictwa Narodowego w Manchesterze zorganizowało „opłatek" w Domu Kombatanta 30 ub.m.

Na „opłatek" przybyli ks. prob J. Bas oraz kilkudziesięciu członków Stronnictwa. Po tradycyjnym posiłku i kolędach nastąpiła część koncertowa z udziałem p. B. Cekałowej — śpiew i p. Z. Kotlińskiego, popularnego „wujcia Zdzisia" — akompaniament.

Okolicznościowe przemówienia wygłosili ks. J. Bas, który mówił o znaczeniu religijnym „opłatka", pp. S. Zajchowski kierownik Koła, A. Łobodziński i K. Mytkowski.

„DZIATWA"

Wznowione w roku ubiegłym jedyne polskie pismo dla dzieci w Wielkiej Brytanii szybko zdobyło sobie uznanie czytelników i ich rodziców. Szczególnie dobry w treści i formie był numer gwiazdkowy „Dziatwy". Ukazał się już obecnie numer styczniowy. W żadnym polskim domu, gdzie są dzieci poniżej dziesięciu lat, nie powinno zabraknąć tego pisma, wydawanego przez Zjednoczenie Polskie w sposób staranny i rozsądny.

AUDYCJE POLSKIE RADIA RZYM

Audycje „Głosu Polskiego" radia rzymskiego nadawane są codziennie dwukrotnie, a mianowicie w godz. 14.40 — 15.00 wg czasu środkowo-europejskiego (wg Greenwich 13.40 — 14.00) na falach krótkich m 19.58 — 25.21 — 31.35, oraz w godz. 21.20 — 21.40 wg czasu środkowo-europejskiego (wg Greenvich 20.20 — 20.40) na falach krótkich m 25.21 — 31.35 — 49.92.

LISTY DO REDAKCJI

O APEL PRZECIW WYNARADAWIANIU

Szanowny Panie Redaktorze,

W Home Service BBC (17 czerwca 1951 r.) był „Appeal on behalf of the Catholic Council for Polish Welfare" by Ted Kavanagh.

W „Radio Times" była wstępna notatka historyczna, następująca: „At the end of the war there were 240.000 Poles who had served in Polish Forces under British command in nearly every theatre of the war. Since then changes of frontiers and regime have

made it difficult for many of them to return to their own country, and there are at present in Britain more than 150.000 Poles, of whom many are in real need of help".

Zanotowałem — natychmiast — z treści apelu, co następuje: Po krótkim nawiązaniu do historii — jak wyżej — T. Kavanagh mówi o aktualnej rzeczywistości, a więc: „Money 's needed for Polish Welfare — in particular for English education of their children, for activities towards assimilation of these Poles into our national life, such one as there are many examples in history: In the past many refugees came to this country, and they contributed to the greatness of Britain. These activities will be necessary until these Poles will become our self-supporting fellow-citizens".

Moją refleksją, po wysłuchaniu tego apelu, było: z jednej strony poczucie wdzięczności za to, iż się Polaków tak przypomina tutejszej publiczności, a z drugiej strony uderzyło mnie egocentryczne ujęcie sprawy, a więc: Potraktowanie wysiłku wojennego Polaków wyłącznie jako „historii" już minionej jakby bez konsekwencji, a zmiany granic jako definitywnej. Potraktowanie Polaków przebywających w Brytanii jako masy już nie należącej do własnego narodu, lecz przeznaczonej na narodowe zasymilowanie na rzecz tutejszej społeczności narodowej — tak jak wynarodowieniu uległi dawni emigranci wielu narodów: Francuzi hugonoci najpierw a katolicy później, holenderscy uchodźcy, żydzi, a przede wszystkim Irlandczycy - katolicy (T. Kavanagh sam — także). Zupełne przemilczenie tego, iż Polacy chcą być uważani nie za strupieszałą miazgę przeznaczoną na wchłonięcie — na pożytek obcy — lecz za emigrację polityczną dążącą do odbudowania Polski niepodległej, z oparciem o ośrodki zagranicą zachowane. Łączy się to — zapewne — z nadziejami, iż ci zasymilowani Polacy wzmocnią katolików angielskich — ilościowo i jakościowo. Nie uwzględnia to faktu, wielokrotnie stwierdzonego, iż Polacy wynarodowieni, aż nazbyt często — wskutek dokonanego odstępstwa — stają się elementem cynicznym i destruktywnym. Decyduje tu: nie formalne przyjęcie obcego obywatelstwa, ale zmiana samopoczucia — niwecząca wewnętrzną wartość. Pomyślałem, że trzeba znaleźć drogi do przekonania Anglii, że większy będzie pożytek — dla Anglii i dla katolicyzmu — z odbudowy Polski niepodległej niż byłby z anglizowania Polaków w Anglii przebywających.

Apel Polaków przeciw ich wynaradawianiu — zagranicą — przy pomocy organizacji katolickich winien być skierowany do czynnika dysponującego, to jest do katolickiej hierarchii duchownej. O ile chodzi o Rzym, to sądzę, iż z uwagi na wysoki poziom i skalę — duchową i koncepcyjną — szeregu wypowiedzi papieża Piusa XII, od generacji już nie było tam lepszej koniunktury dla zrozumienia dążeń polskiej idei narodowej — w skali światowej — o ile dążenia te będą przedstawione tam na odpowiednim poziomie.

Łączę wyrazy poważania

Stanisław Wiktor Szczepanowski

NA MARGINESIE

KRYZYS KONSTYTUCYJNY

Wśród emigracji Kozaków dońskich panuje głęboki kryzys konstytucyjny. Zebrania stanic w Bradfordzie i Paryżu roztrząsają, kto ma rację: Wielki Ataman, czy Rada. Chodzi o kadencję Atamana i interpretację uchwał Wielkiego Koła sprzed paru lat. Ataman twierdzi, że on sam oznaczy koniec kadencji. W wychodzącym w Paryżu piśmie „Kazak" (Nr 5 z 5 grudnia 1951 r.) ukazała się odezwa Wielkiego Atamana Biłego, w której czytamy:

„Postawiono mi pytanie, czy możliwe jest jeszcze pokojowe załatwienie kryzysu wywołanego działalnością W. Głazkowa i I. Biezugłowa?

Moja odpowiedź: możliwe przy następujących warunkach:

Naprzód każdy zachowa swoje miejsce. Wielki Ataman jest ataman. Zastępca atamana jest zastępca — po kozacku. Tak, jak teraz się wyjaśnia, myślało i Wielkie Koło w 1948 r. zarządzając wybory... Wybory będą kozackie i po kozacku...".

Ach! ci Słowianie...

„MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.

Printed for „Myśl Polska" by „Veritas Foundation Press", 12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD 9734